



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Hej! hej! mój panie, a toż co?
Czy napaśé jaka dzika?
Któż mię tam z boku trąca? kto
Kudłaty łeb swój wtyka?

Któż to mi gwałtem zabrać chce,
Dzisiejsze me śniadanie?..
To ty tak Burku wdzieraszą się!
A pójdźże stąd, mój panie!

Precz stąd, ani się zbliżać waz,
Łakomstwo straszną wadą.
Nic nie dostaniesz; karę masz,
Że chcesz coś zyskać zdradą.

KOLEJ SYBERYJSKA.

Ostatnie dziesięciolecie XIX-go wieku zaznaczy się dokonaniem olbrzymiego dzieła, mającego znaczenie wszechświatowe. Jest niem kolej żelazna, przechodząca wszere całą Syberję od gór Uralskich aż do Oceanu Spokojnego.

Do niedawnych czasów Syberja znana była przeważnie, jako kraina wygnania i kary, a z powodu surowego klimatu, ogromnych odległości i trudnej komunikacji, mało zwracano uwagi na przyrodzone bogactwa tej prowincyi, posiadającej zwłaszcza w południowej swej części żyzną ziemię, wspaniałe lasy i pokłady rozmaitych cennych kruszców.

Zdawalo się, że Syberja to olbrzymia przestrzeń pokryta śniegiem, nad którą swobodnie hasa mroźny wieher z oceanu Lodowatego, a po nielicznych lecz nieskończonej długości drogach, ciągną swolna karawany z herbatą od granicy chińskiej, kroczą szeregi skazańców z Europy i rzadko tylko przemyka szybko trójka pocztowa z głośnym dzwonkiem.

Tymczasem powoli rozwijało się na Syberyi rolnictwo górnicstwo i handel, usilnie przez rząd popierane i wzmagające się z napływem osadników i ludzi przedsiębiorczych z Rosyi europejskiej i innych krajów.

Dla ułatwienia i utrwalenia tego rozwoju brakowało jednak Syberyi łatwej komunikacji, którą zapewnić może tylko kolej żelazna.

Budowę tej kolei rozpoczęło państwo przed siedmiu laty, a w tym roku większa jej część, bo aż do Irkucka, głównego miasta Syberyi wschodniej, — ukończoną zostanie.

Będzie to najdłuższa linia kolejowa na świecie, dłuższa od tak zwanej kolej Pacyfyku, przecinającej Stany Zjednoczone Ameryki północnej od New-Yorku do San Francisco, i kolei Transkanadyjskiej, łączącej Montreal, stolicę Kanady nad rzeką św. Wawrzyńca z miastem Vancouver nad oceanem Spokojnym. Do tej ostatniej linii ze względu na północne położenie, warunki klimatyczne i małe zaladnienie kraju najbardziej jest zbliżoną kolej Syberyjska, przewyższa ją tylko długością o tyle, o ile Azja jest szerszą od Ameryki północnej.

Właściwa kolej Syberyjska zaczyna się od miasta Czelabińska, leżącego po tamtej stronie Uralu i kieruje się wciąż na wschód przez Omsk, Kolywań, Krasnojarsk do Irkucka. Od Tomsku, głównego miasta Syberyi zachodniej, posiadającego uniwersytet, przechodzi w odległości stu wiorst, lecz łączy się z niem oddzielną drogą.

Na tej przestrzeni, wynoszącej około 4000 wiorst, czyli mniej więcej dwadzieścia razy tyle, co odległość Warszawy od Częstochowy, trzeba było osuszać bagna, trzebić lasy, wznosić nasypy i budować mosty, z tych niektóre nad rzekami szerszemi od Wisły pod Warszawą a daleko głębszemi, jak Irtysz, Ob i Jenisej.

Łatwo zrozumieć, jakie trudności musiano przewycięzać przy tych wszystkich robotach, zwłaszcza w kraju jeszcze nawpół dzikim, bez odpowiednich fabryk i robotników miejscowych, i w obec surowego klimatu.

Jednak dziś już można bezpiecznie i wygodnie dojechać w wagonie aż do miasta Kańska, a w sierpniu r. b. pociągi zaczną dochodzić do Irkucka, leżącego w pobliżu słynnego jeziora Bajkalskiego.

Jeszcze większe trudności przedstawia budowa drugiej połowy kolei syberyjskiej, która za lat kilka ukończoną zostanie; od Irkucka bowiem wkracza droga w kraj górzysty i zanim dosięgnie doliny Amuru, t. j. na przestrzeni około 1500 wiorst, przebijać się musi za pomocą tunelów, wąwozów i wiaduktów przez liczne pasma gór, nadzwyczaj skalistych i niedostępnych. Ta część drogi będzie prawdziwym arcydziełem sztuki inżynierskiej i wspaniałym dowodem wytrwałości, umiejętności i przedsiębiorczości ludzkiej.

Ostatnia część tej linii długości 400 wiorst od Władywostoku nad oceanem Spokojnym do Chabarówki nad Amu-

rem, zwana odnogą Ussuryjską, bo biegnie równolegle do rzeki tego nazwania, już jest od lat kilku skończoną.

Niedługo więc będzie przejechać w wagonie cały tak zwany „stary kontynent” od Lizbony z nad brzegów Atlantyku do Władywostoku i podróż tę, na którą dawnie trzeba było poświęcić najmniej lat kilka—odbyć w ciągu paru tygodni przyjemnie i wygodnie.

NIEDZWIĘDZ^{*)}

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Tylko Jadwisia nic na razie nie rzekła. Aż jej się matka spytała:

— A cóżes to taka milcząca?

— Wszystko już opowiedzieli, cóż mam rzec.

— Po chwili dodała:

— Powiedział, że zabierze do siebie Kazika.

I spojrzała na matkę.

— Obiecał, ale czy dotrzyma — rzekł Kazik, siedzący przy końcu stołu.

— A chciałbyś jechać? — zapytała kasztelanowa.

Kazik w miejsce odpowiedzi oblał się rumieńcem i pierwszy raz nie znalazł jakoś na razie odpowiedzi.

— Onby zaraz pojechał! — zaśmiał się Jędrus.

— I tutaj już króliewicz nie mógł się bez niego obejść — dodał Marcinek.

— Byłby go wziął zaraz, jeno mu ten pan nie pozwolił — dodał Piotruś.

— Kazik byłby i tak nie pojechał, bo mu nas żal — szczebiotała Anusia.

A Kazik podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Hm, hm — rzekł milczący dotąd kasztelan — będzie to szczęście dla chłopca.

Gdy zaś pan Ignacy opowiedział, że jejmość królowa przysłała, aby króliewicz zaraz do stolicy wracał, pan kasztelan począł wypytywać kategorycznie, kto przyjechał, co mówiono, jaki był powód, iż królowa matka swego syneczka tak gwałtownie chciała z drogi nawrócić.

Na to jednak pan Ignacy nie umiał odpowiedzieć, mięszał za to opowiadanie o imci panu Piotrze Opalińskim, siniorze, a nawet i o pociesznym stworzonku, które królowa synowi przysłała, ażeby się w drodze nie nudził.

Na to ostatnie opowiadanie, pan kasztelan mruknął jakoś niechętnie, a potem zwróciwszy się do żony, rzekł:

— A to nie co innego, moja panno, jeno com ci opowiadał.

Pani Łucya kiwnęła potakująco głową, a potem wyalkulowała swać sobie rozmowę z mężem w drodze, opowiedziała:

— A bo i pewno, że nie co innego.

I zaraz rzekła:

— Idźcie, idźcie już, dziewczeczki z ochmistrzynią, a też i synkowie mają tam pewnie z panem Sulpicyuszem swoje sprawy.

Dzieci choć nie zbyt chętnie oddaliły się zaraz, każde w swoją stronę, a pan Ignacy chociaż miał wielką ochotę da-

*) W N-rze 6 str. 43 szpalta 2-ga wiersz 22 od dołu zamiast *giuro* powinno być *giuro* — str. 46 szpalta 1 wiersz 43 od góry zamiast *zabrać* powinno być *zabawić!*

lej opowiadanie swoje prowadzić i pochwalić się, jak wszystko, co doń należało, dla honoru domu jaśnie wielmożnego kasztelanowa czynił, widząc jednak, iż się nim zgoła nie zajmowało, wyniósł się dyskretnie.

— Hm, hm! — chrząknął po swojemu pan kasztelan.

I wstawszy od stołu przeszedł się parę razy po komnacie.

— Co jegomość mówi? — zapytała pani Łucya udając, że chrząkanie wzięła za rozpoczęcie rozmowy.

— Nic, tak oto sobie kalkuluję!

— No, to trzeba mi zajrzeć, co się też tam w głębi domu dzieje — rzekła kasztelanowa, zmierzając ku drzwiom.

— Ale, bo widzisz moja panno...

Kasztelanowa zatrzymała się na środku komnaty i zaszedłszy niby niechcący drogę mężowi, spojrzała mu w oczy ciekawie.

— Widzisz, moja panno, trzebaby się to jednak zastanowić...

— Przecie jegomość nic bez zastanowienia nie czyni.

— Bo to możeby i odwiedzić Jędrka i Marcina do Krakowa na naukę.

A skądże to jegomości tak nagle przyszło postanowienie?

— Nie taki bardzo nagle, boć nieraz już o tem myślałem — odparł pan Baltazar, zatrzymując chcącą odejść żonę.

— Ba, aleć od myśli do postanowienia daleka droga, a jeszcze bodaj dalsza do wykonania — odparła pani Łucya.

— Bo to po takich odwiedzinach, jakkolwiek przygodnych, zawsze jakoś łatwiejsza droga — mówił kasztelan, idąc za biegiem swych myśli.

— A cóż te odwiedziny z odwiezieniem naszych synów do Krakowa mają wspólne? — spytała znów kasztelanowa, udając, iż nie rozumie słów męża.

— Eh, prawdziwie u białogłowy włosy długie...

— A rozum krótki — przerwała pani Łucya, kładąc rękę na ramieniu męża. — Jać też dorównać rozumowi jegomościemu wcale nie mam pretensyi, ale też sobie kalkulowałam, żeć jeżeli królewicz tak łaskawie z naszymi dziećmi się zabawił, a dom nasz tak sobie upodobał, że jako powiadają rad byłby dłużej w nim gościć, to chyba nie łącno o nich zapomni.

— A no, toć przecie i ja to mówię — odrzekł kasztelan.

— Zwłaszcza jeżeliby miała być prawda, co jegomości opowiadano, to i na przyszłość promocya przy dworze, a też i znaczenie...

— Phi, nie łakomyć ja tam na nowe godności, boć dzięki Bogu mamy je z dziada pradziada...

— A któżby tam o łakomstwie na nie mówił — przerwała żona — wszakci jegomość swojemi zasługami, a też i koligacją na najpierwszem miejscu zasiąść może...

— Aleć od przybytku głowa nie zaboli — przerwał małżonek.

A potem dodał:

— Jeżeli zaś prawda co opowiadano, że uradzono w Piotrkowie... to pewnie wkrótce z całego kraju powołają do stolicy przedniejszych.

— Ba, toć pewnie i bez jegomości tam się nie obejdzie — rzekła z pewną dumą kasztelanowa.

— Otóż, możnaby zaraz za jednym zachodem i chłopców zabrać — dodał kasztelan.

— A jak to jegomość zaraz wszystko doskonale wykalkulował — pochwaliła z pewną dumą żona.

Pan kasztelan pogładził żonę po gładkiem i kwitnącem jeszcze czerstwością i krasą licu, i rzekł z zadowoleniem:

— No, toć się jeszcze czegoś pewniejszego dowiemy, przecie niemało ludzi do nas bodaj i wprost z Piotrkowa zjedzie!

— Oj nie mało, nie mało! a ja tak sobie gadu gadu — i nic nie wiem, czy tam aby wszystko gotowe.

To mówiąc, wyszła do dalszych komnat, a chociaż głowę miała zaprzątniętą bardzo poważnemi, sięgającymi w dal

myślami, przebiegła jednak wszystkie zakątki obszernego swego domu i o najdrobniejsze rozpytywała się szczegóły.

Pani kasztelanowa bowiem choć miała ochmistrzynię, szafarkę, gospodynię, liczny dwór niewieści i cały zastęp służby, ogólny jednak zarząd dzierżyła w swych rękach i nie czujnego jej oka ujść nie mogło. Tem gorliwiej teraz spieszyła do swoich zajęć, że przez dni kilka nie była w domu, a licznego jak zwykle spodziewała się na imieniny męża zjazdu.

Przyjęcie kilkudziesięciu osób stanowiło nie mało kłopotu dla gospodyni i wielu wymagało starań. To też zjazdy takie odbywały się w zamożnych nawet domach zaledwie raz na rok, ku czemu gospodarstwo nietylko we dworze lecz w oficynach, stajniach a nawet często i porządniejszych chatach właściwe czynili przygotowania

Kilkadziesiąt bowiem gości przywoziło ze sobą drugie tyle jeżeli nie więcej dworzan i dworek, składających się z młodzieńców i panien, często krewnych lub też drobnej szlachty, szukającej na dworze możnych panów promocyi.

Oprócz „dworu” przyjeżdżał również cały zastęp służby tak męskiej jak żeńskiej, bo pan wojewoda, podkomorzy, starosta, cześnik czy stolnik, musiał mieć swego pokojowca, jak jejmość oprócz panien dworskich miały służebne.

Cóż dopiero mówić o woźnicach, hajdukach i forysiach! Żaden zamożniejszy szlachcic bez takowych się nie ruszał, zwykle bowiem za kolebką stało dwóch hajduków, a na trzeciej parze koni siedzieli forysie, którzy w noc ciemną zapalonemi przyświecali pochodniami. Często zaś oprócz powyższych jechało jeszcze dwóch lub więcej dworzan konno po obu stronach kolasy, lub jak zimą kolebki na saniach, ażeby w razie pochylenia się tejeż w tę lub ową stronę chylącą się podtrzymać, a nawet i od upadku ochronić. Drogi ówczesne pełne wybojów i kamieni, zmuszały do takiej ostrożności a wypadki wyrócenia, złamania koła lub przegody z koźmi, były tak częste, iż należało prawie do osobliwości, jeżeli ktoś przebył kilkunastomilową podróż bez podobnego wypadku.

Nie dziw więc, że każdy wybierający się w podróż, brał konie zapasowe i jaki taki poczet który zarazem świadczył i o zamożności jego domu. Lecz nie dziw także, że dom, który miał zaszczyt przyjmowania u siebie licznych gości, musiał nie mało się krzątać, by o wygodach dla przybywających pomyśleć.

To też i pan kasztelan, jakkolwiek spuszczał się w wielu razach na swego marszałka i zwykł mawiać, że w panu Ignacym ma drugiego siebie, teraz jednak wyszedł na obszerny podwórzec, ażeby sam o wszystkim należycie się przekonać.

Zamek zakroczyński, jakkolwiek bardzo obszerny i wygodny, nie mógł jednak pomieścić tak licznych gości, jacy zwykle przybywali na imieniny pana kasztelana. Nietylko więc przystawki i domki dla domu i służby, ale nawet i domy w miasteczku, odległym o dwie wiorsty od miasta, były dla gości zajęte, jako też karczmy i zajazdy dla koni kolasy i wozów, do tych gości należących. Każdy bowiem, wybierając się w dalszą podróż, wiodł za sobą wóz a czasem i dwa, na których była pościel oraz wszelkie potrzebne do codziennej wygody statki.

Podróż trwająca dni kilka wymagała tych wszystkich przyborów; jeżeli bowiem nie trafiał się po drodze krewniak lub szlachcic skoligacony z podróżującym, zajeżdżano do pierwszej lepszej karczmy, gdzie będącymi na wozie oponami przystrajano izbę, wydobywano z wielkich skórzanych tłomoków pościel i urządzano wygodny nocleg dla państwa. Dwór zaś mieścił się, jak mógł, często nawet w braku izby na wozie, pośród tłomoków i sepetów.

W zamku kasztelanowa przystrojono tylko parę izb dla najznakomitszych gości, którzy w nich mieli zamieszkać. Lecz i ci, dla których przeznaczone były komnaty paradne, przywozili z sobą rozmaite sprzęty, opony i dywany, a jejmość zabierały srebrne świeczniki, niednice i wszelkie przybory do gotowni. I nieraz też sama jejmość, która w domu sypiała w zaledwie pobielonej izbie, myła się w drewnianym stat czku a ubierała przy świetle kominkowego ognia, jadąc

w gościnę, zabierała najwspanialsze makaty, jakie spoczywały od dziada pradziada w wielkich skrzyniach, oraz srebrne rubki, dzbany, miednice i świeczniki, które jej się drogą spadku po ojcach dostały. Okazanie światu tych drogocennych przedmiotów, nietylko miało na celu przedstawienie bogactwa domu, lecz zarazem i dawność rodu, a nawet i zasługi antenatów, którzy owe bogactwa najczęściej zdobyli na wojnie, lub otrzymali od króla za męstwo i czyny przynoszące mu chlubę.

Popisywanie się tym bogactwem nie uważało bynajmniej donowi, do którego jechano w gościnę, owszem, okazywano tym sposobem pewną szlachę, kładąc najpiękniejsze szaty i otaczając się najbogatszymi sprzętami. Czynnikiem to wszystko dla honoru swego i domu, w którym miano gościć.

Przyjmujący zaś u siebie gości, toż samo czynił, chcąc okazać cześć przybywającym, a pan kasztelan idąc w podwórzeczek rzekł sam do siebie:

— Wiem co mi się od innych należy, ale też wiem, co i innym odemnie!

Chociaż więc głowę miał zaprzątniętą myślami, któremi co tylko podzielił się z małżonką, siedł jednak aby na własne oczy dopatrzeć, czy wszystko jest w należytym porządku.

Na podsieniu spotkał Kazika i zaraz skinął na niego:

— Chodź sam ze mną!

Chłopiec szparko się przybliżył, a widząc, że stryj idzie dalej, nie pytając go o nic, kroczył za nim w milczeniu, jak należało na dobrze wychowanego młodzieńca.

Doszli tak do stajen, gdzie pan kasztelan rzucił baczny wzrokiem i zapytał:

— Wszystko w porządku?

— Jako przystało, jaśnie wielmożny panie — odrzekł masztalerz.

— Będzie się waś miał czem popisać?
— Nie chwając się, ale trudno o lepsze konie — odpowiedział, uśmiechając się masztalerz.

— A nieujeżdżony?

— Ho, ho, ten nad wszystkie, a śmiałek, co go dosiędzie, wart będzie nie byle nagrody — rzekł z pewną dumą masztalerz i spojrzął z pod oka na Kazika.

— Zobaczmy, zobaczmy! — rzucił pan kasztelan i poszedł dalej.

A Kazik idąc też za nim rozmyślał o owym koniu nieujeżdżonym i o popisach i harcach, jakie zwykle podczas zjazdu na imieniny pana Baltazara wyprawiano.

— Ach, żeby mi to pozwolono dosięść owego konia — westchnął sobie. — Ale gdzie tam, będzie tylu innych.

Tymczasem przy braniu stróż, zobaczywszy idących,

schronił się do swojej budki i zaczął się żegnać z przestracchem.

— Otwieraj! — zawołał kasztelan.

Stróż wychylił głowę, spojrzął na Kazika, szeroko oczy otworzył, a potrząsnąwszy głową, znów się przeżegnał.

— Oszalał! — rzekł, wrzuszając ramionami kasztelan.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec mój, dobrodzieju, nie chodźcie za furtę.

I wskazał na Kazika, kładąc znów znak krzyża świętego.

— Co jemu? — spytał kasztelan, zwracając się do młodzieńca.

Lecz nim tenże odpowiedział, stróż zbliżył się do kasztelana z pokorą i przestracchem i jał przyciszonym głosem:

— Tego już wszelki czort opętał.

— Iście oszalał! — rzekł wrzuszając ramionami pan Baltazar.

I nie czekając aż stróż otworzy furtę sam to uczynił.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec, dobrodzieju, wysłuchaj!

Kasztelan, jako pan dobrego serca, spojrział na wołającego i zatrzymał się.

— Czary, czary, jakom chrześcijanin, czary! jaśnie wielmożny panie, na własne oczy widziałem tej nocy dyabła, ogon mu wylazł z pod kubraka, dyabeł zamienił naszego panicza Kazika w niedźwiedzia, jeno zadzwoniono w kościele i jakoś mu się odmieniło, ale jakom żyw tak ten dyabeł tam gdzie pod mostem siedzi i znów nam z Kazika robi niedźwiedzia.

I uczepiwszy się poly młodzieńca, nie chciał go wypuścić za furtę.

— Puszczaj! — zawołał kasztelan.

— Jaśnie wielmożny panie, ojciec i dobrodzieju nasz, choćby mnie ubito na miejscu, ja naszego kochanego Kazika nie puszcze! — wołał stróż, zapalając się coraz więcej.

— Oszalałeś, czy co, toć Kazik idzie ze mną! — ozwał się kasztelan, zdziwiony niezwykłym zachowaniem się sługi.

— Jaśnie wielmożny dobrodzieju nasz, do waszej jasności, tfu! panie odpuść, czort nie będzie miał śmiałości, boć powiadają, co starszych i w piekle szanują, a do młodzieniaszków, wiadomo, największą mają oni pohopność — mówił dalej z najwyższym przekonaniem.

Kasztelan wrzucił ramionami i zniecierpliwiony zawołał, do przechodzącego parobka:

— Wziąć tego pijaka!

(d. c. n.)



Dostawa kości słoniowej do Kongo.

HANDEL KOŚCIĄ SŁONIOWĄ.

Jak cennym artykułem handlu, mianowicie dla Afryki, jest kość słoniowa o tem przekonywają nas dopiero cyfry statystyczne, które wykazują wzrastające z każdym rokiem zużytkowanie tego materiału.

Wiadomo, że pod nazwą kości słoniowej rozumieć tylko należy olbrzymie kły, wyrastające zwierzęciu po obu stronach górnej szczęki, kły dochodzące u niektórych starszych słoni, do wyjątkowych rozmiarów, tak, że słynny podróżnik angielski po Afryce, Samuel Baker widział okazy ważące po 144 funtów para. Oprócz drobnych przedmiotów wy-

mimozowych, których liśmi i młodą korą chętnie się żywi, nierzadko narażone bywa na ich uszkodzenie. Chciwi na wszelki zarobek Murzyni urządzają bezustanne na słonie obławy nieraz z narażeniem życia. Zdobyty materiał zabierają karawany arabskich kupców, prowadzących handel zamienny. Jak zaś olbrzymie osiągają zyski kupcy, można wnosić



Skład kości słoniowej w Antwerpii.

rabianych z kości słoniowej jak: guziki, spinki, broszki i wiele rzeczy ozdobnych i zbytkownych, najwięcej wszakże spożytkowywaną bywa ona na wyrób kul bilardowych z powodu swej wielkiej twardości. Oczywiście, że wszelka szczyrba, wszelkie pęknięcie czyni materiał niezdatny już do użytku, a zwierzę posługując się kłami, zarówno ku obronie jak zdobywaniu żywności, mianowicie przy wywracaniu drzew

z tego, że Stanlej w czasie pobytu swego w środkowej Afryce, znalazł szałaszy zbudowane na podporach z kości słoniowej, którą krajowcy z wielką ochotą wymieniali na miedź w cenie pół lub jednego centa za funt, gdy w Zanzibarze tenże sam funt kości płaci się po dwa dolary.

Załączona do dzisiejszego numeru rycina I-sza ilustruje transport kości słoniowej na barkach Murzynów, przegna-

zonej na ładunek okrętów w Kongo; druga zaś przedstawia olbrzymie składy tego materiału w Antwerpii, dając nam w przybliżeniu pojęcie o niezmiernej ilości i wielkości nagromadzonych tam okazów. Rynek bowiem Antwerpski stał się dziś pierwszym w świecie odnośnie do handlu kością słoniową, usuwając na drugi plan Londyn i Liverpool. A jeżeli weźmiemy na uwagę, że kilogram kości ceni się obecnie w Antwerpii 18 franków, zrozumiemy, jak poważne sumy są w obrocie, jakim cennym przedmiotem jest ten artykuł w rzeczywistości.

Oczywiście, w stosunku do tak wielkiego zapotrzebowania i tak zaciętego tępienia przez krajowców ilość żyjących w Afryce słoni, zmniejsza się bezustannie. Przemysłowicy więc Anglicy rozmyślają podobno nad założeniem w Indjach hodowli słoni, na podobieństwo kolonii wychowujących strusia, które prowadzone już od lat kilku, świetnie dają korzyści.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Pod względem zoologicznym wyprawa również bardzo się powiodła; odkryto, że istnieje wielka różnica między fauną głębinową zimnych a ciepłych prądów. Prócz tego zdobyto dla nauki mnóstwo nowych zwierząt, między którymi najwięcej zasługiwały na uwagę przesłiczne jeże morskie (*Asthenosoma*) oraz ogromne pająki morskie, mające przeszło 10 centymetrów długości.

W 1870 r. *Porcupine* wyjechał na morze Śródziemne; lecz pomimo długiej podróży zebrał plon bardzo ubogi. Dziwnem jest to ubóstwo zwierząt w morzu, które na pozór, posiada wszelkie warunki, sprzyjające rozmnażaniu się zwierząt, gdyż temperatura morza Śródziemnego jest o wiele wyższą niż w oceanie Atlantyckim, tak obfitym jednak w gatunki zwierzęce. Teraz dopiero wykryło się dla czego Forbes pomylił się, wyciągając wnioski ze swych badań na morzu Śródziemnym. Z powodu ubóstwa tego morza, wyciągnął zbyt pospieszny wniosek i zawyrokował, że we wszystkich morzach głębin są jałowe.

Jednocześnie z wyprawami naukowymi w Anglii, urządzono podobne wyprawy w stanach Zjednoczonych. W 1867 r. roku okręt *Corwin*, a w 1868 do 1869 roku okręt *Bibb* pod przewodnictwem głośnego przyrodnika Ludwika Agassiz'a badał głębinę Gulf-Streamu. W 1872 roku wyjechał znowu okręt *Hassler*, na którym Ludwik Agassiz wraz z hrabią Pourtales'em badali wschodnie i zachodnie pobrzeża Ameryki. Nakoniec od 1877 do 1879 r. Aleksander Agassiz wsiadł na obręt *Blake* i szczegółowo zbadał morze Antylskie oraz zatokę Meksykańską. Rezultaty naukowe osiągnięte na *Blake* były olbrzymie; zebrano kilka tysięcy okazów zwierzęcych, a liczba nowo odkrytych gatunków wynosiła kilkaset. Przekonano się także, że zwierzęta złowione w morzu Antylskim były odmienne od zwierząt, które uczelni angielscy zebrali w morzach przyległych do Anglii. Stało się teraz oczywistym, iż aby poznać dokładnie zwierzęta głębinowe, potrzeba zbadać je we wszystkich morzach na kuli ziemskiej. Wielkie to zadanie wykonała, jak wkrótce zobaczymy, nowa wyprawa naukowa w Anglii.

Wyprawa okrętu Challenger.

Dwaj uczeni angielscy, Carpenter i Wyville Thomson po powrocie z wyprawy na *Porcupine*, postanowili dokonać

jeszcze większego dzieła i odbyć podróż naukową naokoło świata. Jakoż starania ich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Otrzymali oni do swego rozporządzenia od marynarki angielskiej okręt, którego nazwa na wieki zostanie sławną w historii nauk. *Challenger*, tak się nazywał ów okręt, był świetnie zaopatrzony we wszystko, co jest niezbędne do długiej podróży naukowej. Urządzono na nim pracownię fizyczną i chemiczną, oraz gabinet historii naturalnej ze wszelkimi przyrządami. Zapominać nie należy, że okręt, pływający po morzach, kołysany jest wciąż przez fale, zwłaszcza gdy wiatr jest silny. Aby mózgi spokojnie pracować przy takich warunkach, trzeba odpowiednio urządzić pracownię. To też w gabinecie historii naturalnej cztery mikroskopy przyśrubowane były mocno do stołów, aby nie spadały podczas kołysania się statku. Na ścianach dokoła półki, a do nich przytwierdzono mnóstwo słoików, do których miały być składane zwierzęta morskie, zakonserwowane w spirytusie. Wszystkie przyrządy przyrodnicze jako to: nożycki, szczypecy, skalpeli i t. p. były zrobione nie ze stali, lecz z niklu, aby woda morska niszczyć ich nie mogła.

Pięknie urządzono również pracownię chemiczną, zawierającą przyrządy do analizowania wody morskiej. Butelki z odczynnikami także przymocowane były do ścian. W tej pracowni ustawiono po kolei butelki, napełnione wodą morską, którą wydobywano z rozmaitych głębi oceanu. Następnie robiono analizę tej wody, badano jej gęstość i inne własności.

W innym miejscu mieścili się mapy morskie, przyrządy hydrograficzne, oraz przyrządy niezbędne do robienia obserwacji nad magnetyzmem i meteorologią. Znajdował się również ciemny pokój do fotografii wraz z niezbędnymi przyrządami. Były wreszcie termometry, fotometry (przyrządy do mierzenia siły światła), sieci (drugi), ołowianki (przyrządy do mierzenia głębokości morza), oraz akwaryum, w którym wodę ustawicznie odświeżano.

Z tego opisu widzimy, jak doskonale było urządzenie *Challengera*, do jak wszechstronnych badań zastosowane. Był to prawdziwy przybytek wiedzy, który puścił się na ocean dla zdobywania nowych prawd naukowych. Okręt wyjechał z Portsmutu 21 grudnia 1872 roku, a przybił do brzegów Anglii dopiero 24 Maja 1876 r. Przez trzy i pół lat podróżywał on dokoła ziemi i zapuszczał sieć na dno wszystkich oceanów.

Zaraz na wstępie sieć przyniosła obfitość zwierząt z głębin. Z powierzchni oceanu ściągano również delikatnych mieszkańców jako to: skrzydlate ślimaki, przesłiczne girlandy rurkopławów, jaskrawe meduzy i inne zwierzęta, o których już mówiliśmy przy faunie pelagicznej; wyprawy naukowe bowiem odkryły nam nie tylko tajemnice otchłani morskich, ale zarazem zapoznały nas z wieloma zwierzętami pelagicznymi, o których dawniej nic nie wiedzano.

Sieci spuszczone do głębin morskich przynosiły tłumy zwierząt bezkręgowych, ale do najważniejszych połowów *Challengera* zaliczają się liczne ryby, po których wyraźnie poznać było można, że pochodzą z wielkich głębi morskich.

W poprzednich wyprawach ryby były rzadkością, tak, iż myślnano, że zwierząt tych niema w wielkich głębinach. *Challenger* kwestyę tę rozstrzygnął, gdyż dowiódł, że na dnie oceanu żyją nie tylko niższe zwierzęta, jak dotąd myślnano, ale że jest tam mnóstwo ryb rozmaitego gatunku.

Obok odkryć zoologicznych komisya naukowa z *Challengera* starannie badała zarazem jak wygląda dno Atlantyku, czyli badała jego topografię. Wzdłuż wybrzeży Afryki głębokość tego oceanu dochodzi do 2000 metrów, lecz w środku głębiny jego nagle wzrastają i przeciętnie wynoszą od 400 do 5900 metrów (w przybliżeniu 4 i 5 wiorst).

Atoli głębokość wciąż się zmienia; dno oceanu nie jest bynajmniej, jak przez długi czas myślnano, obszerną równiną podmorską, na której pagórki i pochyłości są tak łagodne, iż możnaby po nich jechać powozem od Irlandyi aż do Nowofundlandyi nie używając wcale hamulca. Bynajmniej, powierzchnia ładu głęboko ukrytego pod wodą jest również

urozmaiconą, jak powierzchnia łądu zamieszkałego przez rasę ludzką. W oceanie znajdują się łańcuchy górskie, płasko-wzgórza, doliny, strome pagórki, oraz wzgórze nieznacznie zlewające się z równiną. Wszystkie te szczegóły oznaczone są na tablicach, wykazujących pomiary morza, brane z okrętu *Challenger*.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

p. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

Dziecko było posłuszne i łagodne, nikomu się nie narzyknęło, wchodziło do pokoju cichutko jak myszka i w jakim kąciaku lub w ogrodzie bawiło się całymi dniami. Wszystkie opiekunki zajmowały się niem troskliwie, a Joasia polubiła bardzo małą wychowanąkę. To zajmowanie się kimś innym nie zaś, jak dotąd bywało, wyłącznie swoją osobą, dając poczucie własnej użyteczności, sprawiało jej prawdziwą przyjemność.

Razu jednego, Zosia przebudziwszy się w nocy, zobaczyła Joasię jak stała pochylona nad walizą, w której spało dziecko.

— Co to się stało? — spytała, podnosząc głowę.

Joasia odpowiedziała z przestradzeniem.

— Chodź-no, zobacz, moja droga, mnie się zdaje, że Kasia zachorowała, rzucała się przez sen i płakała głośno.

Zosia jednym skokiem stanęła obok towarzyszki, po chwili jednak odezwała się uspokojona:

— Nie jej nie jest, musiało się jej coś przyśnić i dla tego tak się niepokoila.

Poprawiła dziewczynkę na posłaniu, okryła troskliwie i obie panienki uspokojone położyły się napowrót.

VI.

Na ganku u państwa Skalskich siedziało całe młode towarzystwo, rozmawiając wesoło, kiedy od strony ogrodu ukazał się dziadunio w ogromnym, słomianym kapeluszu, niosąc duży kosz, przykryty liśćmi.

— Dzień dobry panienkom! — zawołał wesoło, stawiając kosz na ławie. — Słyszałem, że chcecie smażyć truskawki, wybrałem więc dla was, jakie potrzeba. Odgarnął liście, a wszystkie panienki wydały jeden okrzyk zachwytu. Takich truskawek żadna z nich nie widziała; każda była wielkości olbrzymiego włoskiego orzecha.

Staruszek był widocznie bardzo ucieszony zachwytem włódych.

— Skąd pan sprowadził taki gatunek? Nawet w Warszawie nie widziałam truskawek tej wielkości — zawołała Jania.

— Ja je sam wyhodowałem.

— Skądże pan posiada tę sztukę?

— Skąd? Ha, ha, ha! Czyż to ja się mało nachodziłem około tego, pracując u ogrodnika.

— Jakto? chyba pan miał takiego ogrodnika, od którego się pan nauczył.

— Boże uchowaj! ja sam służyłem u ogrodnika w Paryżu, kiedy to po skończeniu wojny węgierskiej zawędrowałem do Francji.

— A cóż to była za wojna węgierska?

— To widzi panienka Węgrzy bili się wtenczas z Niemcami. Ja byłem podówczas jeszcze bardzo młody, miałem

zaledwie lat dwadzieścia, ale i mnie się jakoś zachciało spróbować żołnierskiego chleba, a że nie lubiłem okrutnie Niemców, więc dalejże do kompanii z Węgrami!

— Ach! panie najdroższy, najlepszy! — zawołał Henryk, niech nam pan co opowie z tamtych czasów.

— A jakże! zaraz im opowiadać. Ja was tu będę bawił historyjami na wasze zawołanie, młokosy jedne! — gromił śmiejąc się staruszek.

Ale Henryk nie zrażony tą odmową, objął dziadunia całował w ramiona i prosił natarczywie: niech nam pan co opowie z tamtych czasów! Inni chłopcy dołączyli też swoje próby, i panienki również otoczyły staruszka.

Wymawiał się jeszcze pan Skalski, ale już miękką widocznie, skoro zaś Ludwina, która posiadała ogromne łaski u dziadunia Zosi, dołączyła swój głos z innemi, staruszek przestał się opierać, zamyslił się i po chwili wyrzekł, spoglądając po młodzieży dokoła:

— Ale o czemże chcecie, abym wam opowiadał? bo ja sam nie wiem doprawdy?

— Niech dziadunio opowie o swoim poznaniu z Palfyfym! — zawołał Staś.

— Aha! z Andrzejem Palfffym — powiedział dziadunio, siadając na ławeczce, gdy chłopcy tłoczyli się, by zająć najbliższe miejsca.

— Andrzej! dzielny, nieustraszony Andrzej, mój Boże! Czy ja się domyślałem, czy ja mogłem przypuszczać, widząc go tak silnym i rzeźkim... — mówił, jakby do siebie, zamysłając się smutno dziadunio.

— Jakiśmy się poznali, chcecie wiedzieć? — zwrócił się do swoich słuchaczy. — Oto tak się stało. Było to podczas wojny węgierskiej, jak już mówiłem. Młody i pełen zapału wywędrowałem do Austrii, a stamtąd dostałem się do Węgier, bo mi się Niemców koniecznie bić chciało.

Boże mój jedyny, jak to sobie człowiek przypomni te młode lata! Człek niedoświadczony, bez grosza w kieszeni, biegł gnany jakąś gorączką, jakby mu kto skrzydła do nóg przyprowadził; nie pytał czy głodno, czy chłodno, i gdyby mu nie wiedzieć jakie przeszkody na drodze stawiano, byłby je rozbił w kawałki, lub jak ptak nad nimi przeleciał.

Powiadam wam dzieci, młodość to dobra rzecz, ale nie taka co to ani myśli, ani czuje, ale taka młodość, co to serce zapala do wszystkiego co wielkie, a myśli budzi do tego co znaczne. Otóż tedy, jak wam mówiłem, dostałem się na ziemię węgierską. Ale tu bieda wielka, bo porozumieć się ani sposobu. Nie uniałem po węgiersku, a Węgrzy naturalnie ani rusz po polsku; wprawdzie od biedy mógłbym się wygadać w języku niemieckim, ale to nie było bezpiecznie, bo Węgier rozżarty na Niemca, jak brys na wilka, gotówby rozszarpać każdego, kto by do niego przemówił w takowy sposób.

Co tu robić?

Znalazłem się akurat w okolicy, skąd zamierzałem dojechać do miejsca, gdzie były zgromadzone główne siły węgierskie. Wypytałem tedy i tak i owak, ale nic na pewno zmiarkować nie mogłem. Zaczyna mnie to niecierpliwieć; wreszcie dowiaduję się wypadkiem, że w okolicy znajduje się siedziba rodziny Palfffych. Myślę więc sobie: nic innego nie wypada mi uczynić, tylko tam się udać, może prędzej rzecz się wyświeśli.

Idę tedy śmiało, choć z drogi i przebytych tarapat nie wyglądałem zbyt pokaźnie, mało mię to wszakże obchodziło, bo przecież nie szedłem prosić o łaskę dla siebie, tylko dla porozumienia w sprawie dotyczącej ogółu.

Dochodząc do zamku, zobaczyłem od tamtej strony jakiegoś młodzieńca, którego powierzchowność uderzyła mnie dosyć przyjemnie. Może ten objaśni mi do pewnego stopnia — myślę sobie. Zachodzę mu tedy drogę i uchyliwszy grzecznie czapki, przemawiam mieszaną mową języka polskiego z łaciną, która jest dosyć używaną na Węgrzech, w której wszakże ja wcale biegły nie byłem. Mówię tedy i mówię, gestykulując żywo, on patrzy na mnie z ciekawością, słucha cierpliwie, ale uważam, że nic nie rozumie. Po jakimś czasie on znów zaczyna mówić, rozprawiać, gestykulować,

i znowu ja go nie nie rozumiem. Nakoniec obaj milkniemy i spoglądamy wzajemnie po sobie, nie wiedząc czego jeden chce od drugiego.

Co tu robić?

Aż mnie przychodzi na myśl, czybyśmy się nie mogli porozumieć tak jak głuchoniemi, na migi. Kładę tedy rękę na piersiach dla oznaczenia, że to: ja, następnie zakreślam przed sobą szerokie półkole i wymawiam imię węgierskiego wodza, do którego chciałem podążyć. Spojrzał na mnie uważnie, kładzie tak samo rękę na piersiach, wyciąga ją przed siebie i wymawia toż samo imię. Zrozumieliśmy się wreszcie. Znaczyło to, że i on wybierał się w tę samą, co ja drogę. Podaliśmy sobie ręce i uśmiechnęli nieledwie przyjaźnie. Niby dobrzy znajomi szliśmy dalej obok siebie. Węgier zapraszał mię na migi uprzejmie, wskazując w stronę zamku. Szliśmy za pan brat. Czując potrzebę wygadania się, każdy z nas mówił po swojemu, on po węgiersku, ja po polsku, nie rozumiejąc się naturalnie ani słowa, ale pełni ożywienia.

Domyślałem się w nim oficjalisty zamkowego, więc na dziedzińcu przystaję i oglądam się, pewny, że mnie pociągnie do oficyny, ale on prowadzi mnie prosto do zamku,

— Widocznie tam musi mieć pomieszczenie — myślę sobie.

Wchodzimy do sieni. Phi! niczem sala balowa! Dwieście osób wygodnie pomieściłoby się w niej mogło. Dokoła porozwieszane lby dzików, rogi jelenie, wypchane sokoły i lejki z rozpostartymi skrzydłami. Zastanowiłem się trochę, ale mój towarzysz bierze mię pod ramię i prowadzi dalej. Przechodzimy szereg komnat sklepionych, o wązkich i długich oknach, jak to zwyczajnie bywa po starych zamczyskach, aż nakoniec znaleźliśmy się w pokoju trochę na nową modę przybranym. Na konsoli leżą mapy i gazety, a pomiędzy nimi dostrzegam jedną francuzką.

— To pan zna język francuski? — pytam ze zdziwieniem mego towarzysza.

— A znam — odpowiada niemniej odemnie zdziwiony.

Spoglądamy po sobie i wybuchamy głośnym śmiechem. Mozoliłiśmy się tyle czasu, rozmawiając jak dwaj niemi na migi, nie domyślając się, że posiadamy doskonały sposób wzajemnego porozumienia.

Teraz dopiero rozgadaliśmy się na dobre. Opowiedziałem mu, com jest za jeden, czego chcę i dokąd dążę; od niego zaś dowiedziałem się, że się nazywa Andrzej Pfallfy, że mieszka z matką, której jest jedynym synem, w zamku, będącym ich rodzinną od niepamiętnych czasów własnością, i że się wybierze, tak jak ja, na wojnę z Niemcami, że zatem pojedziemy razem.

— A matka pańska? — zapytałem — która ma pana tylko jednego.

Pochylił głowę.

— Cóż robić? — odrzekł — matka wie, że tak być powinno i nie zatrzymuje wcale. Ale czekaj, przedstawię cię mojej matce.

Wyszedł, pozostawiając mnie samego, a wróciwszy za chwilę, rzekł:

— Chodźmy, uprzedziłem już matkę o twojem przybyciu.

W bogatej, staroświeckiej komnacie siedziała przy stole żałożonym przyrządami do robót kobiecych, pani Pfallfy, w stroju czarnym, wzrostem wyższa od syna, bardzo jeszcze piękna, o bladej twarzy i dużych czarnych błyszczących oczach, z wyrazem wielkiej powagi, imponująca nieledwie.

— Pozwól, że ci przedstawię mego towarzysza, matko — przemówił młody Pfallfy.

Stałem w postawie pełnej uszanowania przed dostojną panią domu, która na powitanie skinęła mi poważnie głową.

— Pojedziemy razem do obozu — dodał Andrzej.

Zdawało mi się, że pani Pfallfy jeszcze bardziej pobladła, a kąciki jej ust zadrżały; spokojnym jednak rzekła głosem:

— Wyjeżdżasz? kiedy?

— Za trzy dni.

— Za trzy dni — powtórzyła jak echo.

— To dobrze — wyrzekła po chwili milczenia.

Miły Boże! jakim ona głosem wymówiła te słowa: to dobrze. Cicho, spokojnie na pozór, ale pod tym pozorem krył się bezbrzeżny ból i rozpacz matki skazanej na rozłąkę z jedynym dzieckiem.

I tak było do końca, gdyż cały jeszcze tydzień zabawiliśmy w zamku. Pani Pfallfy, przygotowując wszystko do wyjazdu syna, czyniła to z takim spokojem, jakby wyprawiała go na jakąś wycieczkę dla przyjemności.

Ostatniego dnia, wczesnym rankiem, stary sługa oznajmił mi, że pani jego życzy widzieć się ze mną. Jużem się był obsłuchał do tyła w dźwiękach obcej mowy, że mogłem zrozumieć co nieco. Poszedłem. Na środku pokoju stała matka Andrzeja, poważna i blada, jak zawsze. Skłoniłem się z uszanowaniem.

— Kazałam pana prosić — rzekła po chwili — bo mam do pana wielką prośbę.

— Rozkazuji, pani.

Podeszła ku mnie i ujęła rękę.

— Słuchaj, czy masz matkę? — zapytała.

— Nie mam, pani — odrzekłem ze smutkiem w głosie.

— A ojca?

— Odumarł mnie dzieckiem, sam jestem, nie mam nikogo z bliskich.

— Ach! a ja mam jego jednego tylko — i mogę zostać samą na świecie!

Zrozumiałem ten wykrzyknik.

— Więc niech Andrzej nie jedzie, niech lepiej zostanie przy tobie, pani.

— Nie! — wyrzekła z mocą. — Andrzej powinien jechać, przeszkadzać mu nie mogę. Lecz chciałam cię zakląć na imię twoich rodziców: nie odstępuij go, czuwaj nad nim, jakbyś był jego bratem.

— Przyrzekam ci to, pani — wyrzekłem wzruszony, podnosząc jej rękę do ust.

— Pamiętaj, zaklinam cię, nie odstępuij go nigdy, nigdy!

(d. c. n.)

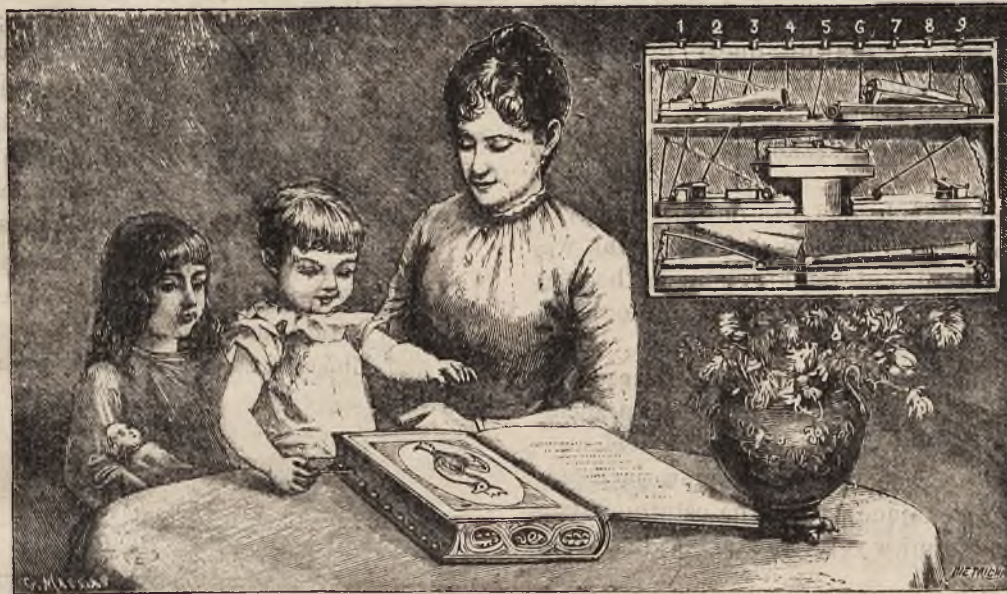
Do tego N-ru dołącza się ogłoszenie rośliny leczniczej „Efedra.”

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Nieproszony gość, wiersz przez Maryę S. — Kolej syberyjska — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Handel kością słoniową (z ryc.) — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Czarodziejska księżeczka przez M. D. — Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje, wiersz przez W. D. — Przesady, komedyjka w jednym akcie. — Gołąbek Bożenny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



CZARODZIEJSKA KSIĄŻECZKA.

Do dziecinnego pokoju, w którym bawiła się siedmioletnia Marylca z małym swym braciszkiem Stasiem, weszła mama z jakimś tajemniczym uśmiechem na twarzy.

Bystre oczy dziewczynki spostrzegły odrazu ten uśmiech.

— Mateczka chciała nam coś wesołego powiedzieć? Prawda, że zgadłam? — zapytała, przybiegając i pieszcząc rękę swej mamy.

— Zanim ci odpowiem, muszę najpierw wiedzieć, czy dzieci grzecznie się bawiły, czy zasłużyły na nagrodę?

— Grzecznie mateczko, grzecznie bardzo! Stacho nie płakał ani razu, we wszystkim mu ustępowałam. Chodziliśmy niby to na spacer, ja z moją laleczką na rękę, on ciągnął ten nowy wózek, co mu to gwiazdka przyniosła.

— Dla grzecznych więc dzieci gwiazdka jeszcze jeden ma podarek. Trochę się wprawdzie spóźniła, miała jednak bardzo daleką drogę, bo aż z Paryża przychodzi.

— Z Paryża, czy to tam, gdzie wujcio Bohdan pojechał?

— Tam właśnie, i on też prosił gwiazdkę, żeby do was jeszcze przyszła.

— Taś kocha wujcia! — zaszczebotał mały.

— Wujcio też kocha Stasia, i dla tego przysłała mu śliczną książkę czarodziejską.

— Mama da Tasiowi książkę — wołał chłopiec wyciągając rączki.

— Ah nowa książeczka! Jakże się cieszę! — mówiła uradowana Marylka — będę miała co czytać, pewnie śliczne są tam bajeczki. Ale czemu mama nazywa ją czarodziejską?

— Obaczysz zaraz. Jest to zupełnie inna książka jak wszystkie, które dotychczas widziałaś!

To mówiąc, mama zaprowadziła dzieci do swego pokoju, gdzie na stole leżała duża książka, niby album do fotografii.

Gdy dzieci ciekawie spoglądały na nią, mama siadła na fotelu, wzięła Stasia na kolana, a Marylce kazała przysunąć się blisko.

— Patrz-no Stachu — mówiła, odkrywając pierwszą stronę, na której wymalowany był śliczny kogucik z czerwonym grzebieniem i puszystym ogonem — czy ty znasz tego ptaszka?

— Kuku-ryku! — zawołał chłopiec, spojrzawszy na obrazek. Aż w tem najniespodziewaniej:

— Kuku-ryku! — odpowiedział malowany kogucik. Dzieci wybuchły wesołym śmiechem, Staś aż rączkami trzepotał w powietrzu.

— Kuku-ryku, kuku-ryku! — powtarzał naprzemian z obrazkiem.

— Mateczko droga, przecie ten kogucik jest tylko malowany, to jakże on może wołać — rzekła po chwili Marylka.

— A czy nie mówiłam ci, że to jest czarodziejska książka?

— Czarodziejska naprawdę?... To ja się jej boję, mateczko, bo czarodzieje o których mi niania w bajkach opowiadała, złymi byli ludźmi.

— Żadni czarodzieje naprawdę nigdy nie istnieli i wszystkie o nich opowiadania, są tylko dla zabawy wymyślone.

— To czemu mateczka tę książkę czarodziejską nazywa?

— Bo jak w bajeczkach owi czarodzieje nadzwyczajnych, niby cudownych dokonywali rzeczy, tak widzisz i ta książka, jest bardzo niezwykłą, chociaż bać się jej niema czego. Obejrzyjmy ją pierwej, a wytłumaczę ci potem wszystko...

I mama odkryła następną kartę z wesoło skaczącym osiełkiem, który odezwał się właściwym sobie, przeciągłym rykiem, wywołując nowe zadowolenie u dzieci.

Były tam jeszcze beczące owieczki, śpiewające ptaki, miauczące koty i szczekające psy, aż na ostatniej stronie dwoje dzieci z bukietami w ręku powtarzało miłutkim głosem:

— Mama! tata! Dzień dobry!

Nie było też końca zachwytom Marylki i Stacha. Czarodziejska książka oczarowała ich zupełnie. Marylka jednak spostrzegła, że mateczka za każdym głosem, który wychodził z książki, pociągała za jeden z guziczków umieszczonych szeregiem na boku.

— Aha — zawołała — już wiem co to za czary! Tam musi być w środku jakaś maszynka, która te głosy wydaje, gdy mateczka guzik poruszy.

— Widzę, że umiesz myśleć moje dziecko, i bardzo mię to cieszy. Sądzę też, że zrozumiesz, gdy ci teraz pokazę tu na końcu za szklaną szybką, że każdy z tych guziczków zakończy sznurek, przeprowadzony do właściwej sobie maszynki, składającej się z mieszka, opatrzonego odpowiednim przyrządem, podobnym do piszczałki albo fletu. Za pociągnięciem sznurka, powietrze napływa do mieszka, który następnie dmie w piszczałkę, a ta wydaje potrzebne do obrazka tony.

Mówiąc to, mama włożyła do rączki Stasia jeden z guziczków i kazała mu ciągnąć, a za każdym odgłosem maszynki, chłopiec krzyczał z wielkiej radości, Marylka zaś pilnie śledziła, jak szkłem zakryte maszynki poruszały się, wydając różne dźwięki

— Choć to książka nie do czytania — rzekła wreszcie — jednak jest bardzo zabawną.

— I pouczającą nawet — dodała mama — wskazuje ci bowiem, jak wiele dokazać może rozum ludzki, który z pomocą tak prostych przyrządów potrafi wydobyć różne głosy, nawet naśladować mowę ludzką.

M. D.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Wstań! — rzekła matka do Józia, leniuszka, Co się ociągał i nie chciał wstać z łóżka, Patrz! jak już słońko wysoko na niebie, Stefan już dawno pytał się o ciebie...

Józio zaspany, wpół z płaczem, grymasem, Dźwignął się z łóżka niechętnie; — tymczasem, Zanim się zdążył opatrzeć leniuszek — Z dworu wpadł Stefan, dźwigając kosz gruszek.

Daj mi! choć jedną! — naprzykrzał się biedny — Masz ich kosz cały... nie! nie dam ni jednej! Chce ci się gruszek? Ha, było ci wcześniej Wstać i poszukać, miał trwonić czas we śnie!

Jam się nie lenił, o świciem się zerwałem — W nocy był wicher, owoce oberwał, A takie mnóstwo, żem godzinę całą Zbierał i zbierał — aż nic nie zostało...

W. D.

PRZESADY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

SCENA IX.

LORCIA, AŃDZIA potem PANI BRUDZESKA.

AŃDZIA. Przynoszę ci dobrą wiadomość, babcia chce, żebyśmy się zabawiły ze Stasiem, pozwala ci dziś nie grać na fortepianie.

LORCIA (*na stronie*). A co! już jedno życzenie spełnione.

PANI BRUDZESKA (*wchodzi z półmiskiem w ręku*). Zawołajcie Stasia i chodźcie na kolację dzieci, zjemy trochę wcześniej, bo Staś musi być głodny po podróży (*stawia półmisek*).

LORCIA (*zaglądając do półmiska*). Ach, racuszki, ulubiona moja potrawa!

PANI BRUDZESKA. Którą dziś z nami spożywać będziesz, bo cię tym razem zwalniam od szpinaku.

LORCIA (*klaszcząc w ręce*). Dziękuję babci, dziękuję! (*na stronie*). Oto pożądany skutek podłożonej miotły.

SCENA X.

CIŻ SAMI I STAŚ.

STAŚ (*półgłosem do Lorci*). Miotła już leży pod drzwiami.

LORCIA (*półgłosem do Stasia*). Domyślałam się tego, bo już dwa moje życzenia spełnione.

PANI BRUDZESKA. Siadajcie dzieci do kolacji (*wszyscy siadają*). Musimy sobie sami usługiwać, Zuzię bowiem wyprowadziłam z pewnym zleceniem na miasto.

ANDZIA. Co babci wypadło tak pilnego?

PANI BRUDZESKA. Dowiedziałam się, że w sklepie naprzeciwko jest dziś wyprzedaż, a, że wiem jak Lorcja oddawna pragnie mieć ową wystawioną w oknie porcelanową zastawę, kazałam ją dla niej kupić w przekonaniu, że mi się za to wywdzięczy większą jeszcze pilnością w naukach i posłuszeństwem.

LORCIA. Co za szczęście! Babuniu droga, jakże ci serdecznie dziękuję! *(całuje babcię w rękę poczem biegnie do okna)*. Zuzia już wychodzi ze sklepu; trzyma serwis porcelanowy w ręku, byle tylko czego nie stłukła! *(do pani Brudzskiej)*. Wie babunia, że to było właśnie życzenie, jakie w myśli miałam spoglądając na gwiazdę spadającą; i ot, jak prędko się spełniło!

PANI BRUDZESKA *(udając zdziwienie)*. Więc tak było rzeczywiście?

LORCIA *(z ożywieniem)*. Niech mi babunia wierzy, że to prawda! I dwa inne jeszcze życzenia wyrażone przy zdmuchiowaniu rżęsy i wypowiedzeniu jednocześnie tego samego słowa ze Stasiem, także się sprawdziły! Wiedziałam z góry, że doznam jakiejś przyjemności *(z naciskiem)* a żadna przykreść nie będzie miała dostępu do naszego progę.

SCENA XI.

(Ciż sami. Zuzia z tucką, i porcelanową zastawą na niej),

ZUZIA *(we drzwiach)*. Przynoszę śliczny serwis panie Lorci *(potyka się o miotłę, pada, porcelana tłucze się z brzękiem)*.

LORCIA *(z głośnym krzykiem)*. Ach! wszystko w drobne kawałki potłuczone!

ZUZIA *(zrywając się i podnosząc miotłę)*. Kto tu miotłę położył? Ona przyczyną wszystkiego złego, mogłam padając nawet nogę lub rękę złamać.

STAŚ *(podnosząc w górę miotłę i naśladując głos Lorci)*. Gdzie miotła leży pod progiem, żadna przykreść domu tego nie nawiedzi. Czy nie tak Lorciu? Przepowiednia twoja tym razem zawiodła!

PANI BRUDZESKA. Oto szczątki ślicznej zabawki zapowiedzianej przez spadającą gwiazdę!

STAŚ *(śmiejąc się)*. O życzeniach twoich ja babunię powiadomiłem, bo tak było między nami ułożone.

ANDZIA. Cóż ty na to Lorciu.

LORCIA *(z płaczem)*. Widzę, że wszyscy zażartowali sobie ze mnie, bo też niedorzecznością moją zasłużyłam na to.

PANI BRUDZESKA. Może cię to na zawsze uleczy z przesądów. O ile jednak pamiętam dowodzenia twoje Lorciu, skorupy szczęście zapowiadają, a ty płaczesz?

LORCIA. Przyrzekam babuni być rozsądniejszą na przyszłość *(rzuca się w objęcia babuni)*.

STAŚ. Teraz dopiero wierzę, że nam miotła w taki sposób szczęście przyniesie w przyszłości.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz co — zawołała z nagłym ożywieniem Bożenna — ja tobie również dać muszę pamiątkę jakąś, którą mię zawsze przypominała sercu twemu! — I rzekłszy to pobiegła do swej matki, by się jej poradzić coby kochanej Ludmile ofiarować mogła.

— Chciałabym jej dać to, co posiadam najpiękniejszego — może ten złoty krzyżyk wysadzany turkusami, który dostałam od ojca chrzestnego.

— Rozumiem moje dziecko — odparła matka, żebyś rada obdarzyć przyjaciółkę najkosztowniejszym jaki masz klejnotem; Uważ jednak, że i ona chciałaby ci odplacić się w równej mierze, co jak wiesz będzie jej niemożliwym. Miej to sobie na uwadze przez całe życie, byś nikogo postępowaniem swym nie upokarzała. Zresztą ofiara krzyżyka, który spoczywa w głębi szkatułki od chwili gdy go posiadasz, nie wieleby cię kosztowała, i mniej ucieszyłaby Ludmilę od przedmiotu, w którym ty sama większe znajdujesz upodobanie, będzie to bowiem dowodem o ile zdolną jesteś do poświęceń w imię przyjaźni.

— Ja to rozumiem mateczko, ale w takim razie co wybrać?

— To co najwięcej lubisz, z czem ci najtrudniej rozłączyć się przyjdzie.

Po dłuższej chwili namysłu dziewczę zawołało.

— Ze wszystkiego co posiadam, najwięcej lubię mego białego gołąbka — ale on też do mnie taki przywiązany, — czy mama mówi, żebym właśnie jego Ludce oddała?

— Sama przed chwilą powiedziałaś, że gotową jesteś do każdej ofiary dla ukochanej przyjaciółki.

Na myśl o rozstaniu z ulubionem ptaszkiem, lży żalu zabłysły w oczach dziewczęciach, lecz prędko zwalczyła to samolubne uczucie i zawołała z mocnym postanowieniem.

— Zawsze mi dobrze radzisz mateczko kochana, daję więc Ludce mego gołąbka!

I ująwszy w dłonie ptaka, który właśnie siedział na jej ramieniu, pieściła go i całowała, jakby już na pożegnanie, poczem pobiegła do przyjaciółki, którą zostawiła w ogrodzie na darniowej ławeczce.

— Ludko — rzekła serdecznym głosem — oto najmilsza pamiątka, jaką ci ofiarować mogę, weź z sobą mego oswojonego gołąbka!

— Jako — zawołało zdumione dziewczę — miałabym ci zabrać twego ślicznego, ukochanego ptaszka? Nigdy tego nie uczynię!

— Mama powiedziała, że przyjacielowi oddaje się to właśnie, co dla nas największą ma wartość, zatem tego gołąbka przyjąć musisz odemnie.

— Moja kochana, moja droga Bożenno! Po cóż ta ofiara? Ja wiem przecież i bez tego, jaką mi jesteś przyjaciółką, a gdy pozbędziesz się ptaszka — jeszcze ci smutniej będzie po naszym odjeździe.

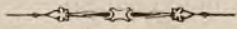


— Nie chcę ukrywać przed tobą, że może trudno zrazu przyjdzie mi się rozłączyć z tem miłym stworzeniem, odpowiedziała Bożenna szczerze, ale też za to będę miała pewność, że ile razy spojrzysz na gołąbka o mnie pomyśleć będziesz musiała.

— I bez tego kochać cię będę zawsze, i chochym sto lat żyła, nie zapomnę nigdy, jak byłaś dobrą dla mnie! Ale jeśli mi już koniecznie każesz zabrać twego gołąbka, będę go pieściła, będę mu dogadzała, a gdy oboje stęskniemy się za sobą, to nas mateczka przywiezie do Ostrobrzegu!

— Widzisz, tak będzie doskonale! Wtenczas będziemy się znów razem cieszyły, wtenczas będzie święto na zamku Ostrobrodzkim!

(d. c. n.)



SZARADA.

Pierwsze wykrzyknik, drugie znowu pyta —
Wszystko cudowne, czasem bardzo ładne,
Mówić umieją, choć nie słyszy żadne,
Żadne nie pisze, ale każde czyta.
To niezbadane, jako morza tonie,
To znów w nich siła nadzwyczajna plonie.

ARYTMOGRYF.

ułożył Puszczyk z Pilawy.

	15	Spółgłoska.
	3 6 1	Dopływ Warty.
	11 4 9 20 24	Gatunek wołu z Indyi Wsch.
22	21 30 6 15 24 20	Sprzęt domowy.
22	19 22 19 21 18 12 30 4	Roślina z r. traw. poch. z Amer.
22	21 30 18 30 4 22	Gatunek pająka.
	12 18 3 29 4	Roślina pnąca z owoc. jadalnym.
	7 4 12	Zwierzę kręgowe zimno krwiste.
	12	Spółgłoska.
	3 19 21	Ptaka morski.
	5 19 2 16 4	Owad dwuskrzydły.
14	20 2 16 3 29 4	Kopalnie soli.
9	29 6 9 29 20 21 22 4	Zwierzątko z rzędu gryzoniów.
	13 29 1 3 20 15 2	Zaleta uczucia.
	5 18 15 30 18	Zwierzęta z rzędu gryzoniów.
	15 23 20	Łyzwy półn. okolic.
	4	Samogłoska.

Zastąpić liczby literami, aby środkowe litery pionowe złożyły imię i nazwisko autorki, wielu utworów drukowanych w Wieczorach Rodzinnych.

ZAGADKA.

ułożył Słoń z Nubii.

Bywam do potraw często przyprawiany,
Zarówno wspan jak wprost jestem bez odmiany.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6.

Szarady: Ba — ku.

Łamigłówki w kwadracie:

Z a n z i b a r
J a b ł o n n a
Y o k o h a m a
N a p o l e o n
A g r i p i n a
B o r d e a u x
B u k o w i n a
P i r e n e j e

Szarady: Pe — gaz.

Skrzynka do listów.

P. I. M. Wierszyka zużytkować nie możemy.

Konwalijce. Z powodu braku miejsca nie pomieszczamy wspólnej korespondencji naszych czytelników.

Wróbelek dawno już bardzo nie odzywał się do nas, z prawdziwą więc przyjemnością powitaliśmy jego liścik. Łamigłówki wydrukujemy, jeżeli tylko okażą się odpowiedniami.

Łamigłówki **Słonia z Nubii, Krzemienia z nad Smotrycza, Bohunka i Bernarda C.** przejrzymy, lecz wszystkich naszych czytelników prosimy, by cierpliwie czekali na wydrukowanie swych prac, bo mając wielki zapas podobnych zadań, z kolei je tylko drukować możemy.

Wiewiórka z odpowiedzi danej Konwalijce wie już, że wspólnej korespondencji czytelników nie przyjmujemy. Do Jaskółki zawsze napisać można, a ona chętnie, na każdy liścik odpowie. Rozwiązania dobre.

Aleksandrowi W. Za ciekawy liścik dziękujemy, z niecierpliwością następnego oczekiwac będziemy, bo opisy nieznanych miejscowości są zawsze bardzo zajmujące. Rozwiązania dobre, łamigłówki przejrzymy.

Dobre również rozwiązania nadesłali: **Kryształek z Petersburga, Igiełka, Gabryel C., Winia z Łoszkowiec, Jasia W., i Zielony Kajecik.**

Goplane mogą dać tylko tę samą odpowiedź, jaką redakcja dała Konwalijce i Wiewiórce.

Lusi W., początek powieści wysłano, porządnie napisany liścik z przyjemnością odczytałam, mam nadzieję, że i nadal zechcesz do mnie pisywać.

Nie wiem dokładnie, jak długo drukować się będzie powiastka, o którą zapytuje **Bernard C.** chciałabym przecież wiedzieć dla czego go to interesuje.

Obiecanego listu **Konwalii z nad Kubani** niecierpliwie oczekiwać będę. Piękna miejscowość, w której obecnie przebywasz, bardzo mnie zaciekawia, z przyjemnością opis jej przeczytam.

Bocianowi z nad Wilji. Błyskawica jest iskrą elektryczną; bywa ona dwojakiego rodzaju: zygzagowata i szeroka. Pierwsza objawia się liniami świetlanymi, zygzakowatymi, długimi nieraz na 1000 metrów; towarzyszy jej zwykle grznot głośny i długotrwały; druga stanowi jednostajne czerwone rozjaśnienie nieba z grzmiotem głuchym, lub bez grznotu. Siła elektryczna błyskawicy zygzakowatej spada na ziemię, co zwiemy uderzeniem piorunu, błaski zaś czerwone są śladem przejścia elektryczności z jednej chumury do drugiej

Jaskółka